NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 26. marca 1921. Nr. 13.

W dzień Zmartwychwstania...



W dzień Zmartwychwstania...

(Do ilustracyi tytułowej).

W budzącej się do nowego życia Polsce śmiało obchodzić możemy tegoroczne Święta Zmartwychwstania.. Jedno z nich, przekazane nam tradycyą wiekową, to pamiątka Zmartwychpowstania Pańskiego i tryumfu Życia nad Śmiercią, gdy natomiast drugie, przypadające na okres późnej jesieni, to uroczystość naszego narodowego i politycznego Zmartwychwstania, tryumfu Sprawiedliwości nad gwałtem i bezprawiem



Kraków w dniu Imienin Naczelnika Państwa: Jeneralicya, członek francuskiej misyi wojskowej oraz reprezentanci władz podczas defilady wojsk.

Dziś, gdy znajdujemy się w przededniu tej pierwszej, gdy radosne bicie dzwonów ogłasza całemu światu, że Chrystus zmartwychwstał, że Życie Śmierć zwyciężyło, w ślad, za niem i nasze serca odzywają się jakoś raźniej i goręcej

Bo oto tegoroczną Wielkanoc spędzić nam przychodzi pod pomyślniejszą wróżbą niż to dotąd bywało. Sejm nasz uchwalił Konstytucyę, mającą zapewnić normalny rozwój państwa na wewnątrz i zewnątrz, w Rydze podpisano pokój z Rosyą sowiecką, na Górnym Śląsku odnieśliśmy, wprawdzie nie orężne, lecz niemniej decydujące zwycięstwo ..

Rosną też serca, wstępuje w nie nadzieja lepszej przyszłości, nowego życia już razem, nierozdzieleni słupami granicznymi, ale zjednoczeni obok Tej, która tyle lat czekała na skruszenie krępujących Ją kajdanów.

Cała przyroda budzi się do nowego życia, którego początek zwiastuje głos wielkanocnych dzwonów, budzimy się do niego i my, odrodzeni duchowo, z okiem skierowanem ku świetlanej przyszłości, zapowiadającej nam zupełne Zmartwychwstanie!.

Krzepi nas też nadzieja i dodaje sił, do zwalczenia przeszkód jakich wiele jeszcze napotkamy na drodze naszego życia, nim dany nam będzie, idąc za wtórem wielkanocnych dzwonów, zanucić z pełnej piersi wielki i wzniosły Hymn Zwycięstwa ..

A zbliża się ono Przybycie jego zwiastują napełniające powietrze dźwięki dzwonów, głoszących światu Zmartwychwstanie! .

Kraków w dniu Imienin Naczelnika Państwa.

Dzień 19. marca, uroczystość św. Józefa, obchodzony był w całej Polsce jako dzień Imienin Naczelnika Państwa. Tegoroczny nastrój był tem podnioślejszy, że stosunki zaczynają się powoli poprawiać i wracać na normalne tory. Sejm uchwalił Konstytucyę, pokój w Rydze ostatecznie podpisany, z Górnego Śląska, znajdujemy się w przeddzień plebiscytu, nadeszły pomyślne wieści. Naród polski, bez różnicy zapatrywań politycznych, ocenia zasługi Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, Jego oddanie się sprawie narodowej, łączy się też w dniu tym uroczystym we wspólnem życzeniu pomyślności dla Tego, którego jedynym celem życia było skruszenie kajdan, krępujących tak przez Niego gorąco umiłowaną Ojczyznę.

W dniu tym i Kraków, z którym tyle serdecznych nici łączy Naczelnika Państwa, nie mógł pozostać w tyle poza innemi miastami. Już w piątek ozdobiono gmachy publiczne i prywatne flagami o barwach narodowych i miejskich, a tłumy zaległy wieczorem Rynek krakowski w oczekiwaniu zwykłego w takich wypadkach „capstrzyku" muzyki wojskowej.

W bieżącym roku zgotowała Krakowianom miłą niespodziankę orkiestra tramwajarzy, która pod główną strażnicą wojskową odegrała pod batutą swego dzielnego kapelmistrza p. Tesarzyka, szereg utworów, a następnie objechała miasto w specyalnym, ozdobionym lampionami i choiną wozie tramwajowym. Popis ten udał się w całej pełni.

W sobotę rano odegrały orkiestry pobudkę, przypominając mieszkańcom, że to dziś dzień uroczysty. Tłumy ciągnęły też na Wawel, gdzie w kościele katedralnym odprawiono uroczyste nabożeństwo na intencyę Solenizanta. Wzięli w niem udział przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, wojskowości, wszelkich instytucyi, oddział weteranów z r. 1863 ze sztandarem, krakowskie cechy i t. d. Podczas nabożeństwa odegrała orkiestra wojskowa szereg utworów religijnych



Na rzecz żołnierza polskiego: Sprzedaż palm na ulicach Krakowa na pokrycie kosztów święconego dla żołnierzy w polu.

Na placu pod katedrą zebrało się wojsko wszelkich rodzajów broni, na stokach wzgórza ustawiono działa, z których oddano salwę honorową podczas podniesienia. Przed nabożeństwem przeszli przed frontem jenerałowie Szeptycki, Osiński i Kostecki, po ukończeniu ceremonii religijnej odbyła się u stóp wawelskiego wzgórza defilada przed jeneralicyą, korpusem oficerskim i przedstawicielami władz.

Równocześnie odprawiono zwykłe nabożeństwa i w świątyniach innych wyznań. W kościele ewangelickim odprawił modły pastor Michejda, w starej synagodze zaś rabin dr Schmelkes.

Na popołudnie godzinę wpół do trzeciej, zapowiedziany był koncert dla żołnierzy, urządzony staraniem niestrudzonej prof. Lud. Grodzickiej w sali kina żołnierskiego przy ul. Zwierzynieckiej. Koncert ten, o bardzo umiejętnie i starannie zestawionym programie, wypadł nad wyraz wspaniale. Poszczególne punkty oklaskiwano gorąco, całość utkwiła na długo w pamięci uczestników, jako wymowny wyraz hołdu Krakowa dla Naczelnika.

Ostatnim punktem programu obchodu był uroczysty wieczór w Kasynie wojskowem. Wzięli w nim udział jeneralicya z korpusem oficerskim, reprezentanci władz cywilnych, obywatelstwa krakowskiego i t. d. Sala nie mogła pomieścić zebranych, nastrój i tu panował nad wyraz podniosły.



Kraków w dniu Imienin Naczelnika Państwa: Baterya artyleryi ustawiona na stoku Wawelu, która oddała salwy honorowe podczas nabożeństwa.

Na rzecz polskiego żołnierza.

Między naszem cywilnem społeczeństwem a armią, istnieje stale ścisła łączność. Ci, którym nie dano z bronią w ręku strzedz granic Rzeczypospolitej, starają się żołnierzowi polskiemu uprzyjemnić szarą jego dolę i dać mu do poznania, że losem jego zajmuje się gorąco naród cały.

Zbliżające się Święta Wielkanocne dają znów do tego sposobność. Żołnierzowi w polu należy się bodaj skromne święcone które przypominałoby mu dom rodzinny i połączyło duchem bodaj na chwilę z tymi, których musiał opuścić idąc za wezwaniem obowiązku. Taki dowód pamięci ze strony całego społeczeństwa należy się słusznie żołnierzowi polskiemu.

Jak w latach poprzednich, zajął się i w roku bieżącym zebraniem funduszów na ten cel komitet, wyłoniony z Towarzystwa „Białego Krzyża" a zostający pod przewodnictwem prof. Wodzinowskiego.

Skorzystano w tym celu z Niedzieli Palmowej i przy dzielnej pomocy zaproszonych pań zajęto się



Wykonanie londyńskich postanowień: Główna kwatera jenerała Gaucher, komendanta Düsseldorfu.

rozprzedażą palm. Dochód jaki z tej imprezy uzyskano, umożliwi Komitetowi należyte wywiązanie się ze swego trudnego zadania.

Społeczeństwo nasze nie żałuje pieniędzy o ile rozchodzi się o cel szlachetny, trzeba tylko umieć zaapelować do ich serca i kieszeni, a skutek jest niezawodny. Najczulszymi na te wezwanie są z reguły ci, którzy mają najmniej, to jest proletaryat inteligencyi, ci zaś, których na prawdę stać na to, by bez uszczerbku dla siebie hojnie sypnęli złotem zachowują przeważnie dziwną obojętność lub... neutralność.

Wykonanie londyńskich postanowień.

Jak już w poprzednim numerze naszego pisma zaznaczyliśmy, przebrała się miara cierpliwości u Koalicyi, a jej przedstawiciele, zebrani na konferencyi Rady Najwyższej w Londynie, nie mogąc się doczekać na spełnienie przez Niemcy przyjętych na się w traktacie pokojowym wersalskim zobowiązań, wdrożyli represalia mające opornych zmusić do uległości.

W poniedziałek dnia 7 marca br. w południe minął czas dany Niemcom do namysłu, gdy zaś w oznaczonym terminie nie otrzymała Rada Najwyższa pożądanej odpowiedzi, to jest, że rząd berliński zobowiązuje się bez zastrzeżeń poddać zarządzeniom traktatu, zamiast nich zaś wykrętne kontrpropozycye, z których zapewne śmiał się sam dr Simons gdy je wręczał i nie wierzył w ich przyjęcie, w dniu 8 marca przystąpiono do wykonania represyi, któremi Niemcom zagrożono.

W teren nad Ruhrą wkroczyły wojska alianckie obsadzając ważniejsze punkty, na Renie pojawiły się angielskie kanonierki. Obsadzenie niemieckiego terytoryum postępować będzie naprzód, aż do chwili, gdy Niemcy dojdą ostatecznie do przeświadczenia, że opieranie się woli mocarstw sprzymierzonych może mieć dla nich bardzo fatalne następstwa. Liczyli Niemcy na pomoc nowego gabinetu waszyngtońskiego lecz się przerachowali. Na punkcie wypełnienia postanowień traktatu wersalskiego panuje między aliantami zupełna zgoda. Ameryka nietylko nie wycofała swych wojsk z terenów niemieckich, owszem, zgodziła się na zaprowadzenie francuskich posterunków celnych na obszarach pozostających dotąd w ręku Amerykanów, co jest właśnie wykonaniem postanowień ostatniej konferencyi w Londynie, w której nie wziął udziału reprezentant Stanów Zjednoczonych. To jednak nie przeszkadza, że na tym punkcie panuje zupełna zgoda między aliantami.

Obsadzenie terenów niemieckich nad Ruhrą nie jest ostatnim punktem środków przymusowych, prasa francuska bynajmniej się z tem nie kryje, że rządy sprzymierzone, w razie dłuższego oporu, gotowe są przystąpić do obsadzenia Berlina, by w ten sposób zadać Niemcom cios w samo serce. Briand oświadczył ostatnio publicznie, że w niedługim już czasie zajść może potrzeba skorzystania z tajnej umowy między Francyą a Anglią normującej ich wzajemny stosunek do Niemiec. Polityk zaś tej miary, co Briand, słów na wiatr nie rzuca. Dalszy opór Niemiec może się zatem dla nich skończyć fatalnie. Zbytnia pewność siebie nie opuś-



Wykonanie londyńskich postanowień: Jenerałowie wojsk alianckich u przyczółka mostowego w Düsseldorfie.

ciła ich dotąd, a każdy, patrząc na ich bezcelowy opór dziwi się, gdzie się podział praktyczny rozum i rozwaga niemiecka, nakazująca szanować głowę, gdy mur twardy zbytnio. A tu jak na złość. Bawarya oświadcza, że siłą gotowa sprzeciwić się rozbrajaniu „Obrony mieszkańców", wielcy zaś przemysłowcy, jak Stinnes i Krupp we własnym swym interesie podsycają upór rządu niemieckiego niewiele sobie robiąc z tego, że kraj na tem wyjść może bardzo źle. Wojenna partya niemiecka nie straciła dotąd wiary w pomyślną gwiazdę Germanii.

Koalicya dawszy do poznania, że żartować nie myśli, nie cofnie się z pewnością przed najostrzejszymi środkami przymusowymi, które mogą mieć dla całej Europy bardzo poważne następstwa, dla Niemiec zaś stać się grobem ich pragnień i nadziei.

Dotychczasowe zajęcie niemieckich terenów przez wojska koalicyjne odbyło się wprawdzie w spokoju, ktoż jednak zaręczy, że nie znajdzie się jakiś zapaleniec, a takich w Niemczech nie brak, który sprowokuje zajście mogące łatwo odegrać rolę iskry powodującej wybuch.

Sytuacya pomimo pozornego spokoju, jest zatem stale bardzo naprężona.



Wykonanie londyńskich postanowień: Piechota belgijska podczas zajmowania Düsseldorfu obok pomnika Bismarka.



Wykonanie londyńskich postanowień: Wojska francuskie przed centralnym dworcem kolejowym w Moguncyi.

Zamordowanie hiszpańskiego premiera

O Hiszpanii, która niegdyś była potęgą światową, z biegiem czasu traciła ona bardziej na znaczeniu, a następnie, śmiertelny cios zadała jej wojna ze Stanami Zjednoczonymi powodując utratę prawie wszystkich zamorskich posiadłości, w ciągu wojny światowej słyszeliśmy bardzo mało. Rozum polityczny jej mężów stanu nie pozwolił na czynne wmięszanie się w wir walki, a ten kierunek polityki okazał się zwłaszcza dla jej monarchicznego ustroju bardzo korzystnym. Kto wie, czy owej w porę zgłoszonej neutralności nie ma do zawdzięczenia król Alfons, że dotąd zajmuje tron swych ojców.

Gdyby złączony węzłami rodzinnymi z Austryą, poszedł był po stronie trójprzymierza, kto wie, czy nie dzieliłby dziś losu Wilhelma. Dzięki neutralności i tron utrzymał, Koalicyi się nie naraził, a choć austryaccy kuzyni mają doń pretensye, że ich nie poparł, może im śmiało na to odpowiedzieć:

— Ładnie byłbym na tem wyszedł!...

I dziwnym zbiegiem okoliczności, kraj w którym idea monarchiczna zdawała się być zakorzenioną jak w Niemczech, jest dziś republiką, gdy natomiast Hiszpania, gniazdo anarchistów i rewolucyonistów wszelkiego typu jest dotąd monarchią i to o rosnącem coraz bardziej znaczeniu.

O ile południowy krewki temperament stanowi bardzo odpowiednie pole do przyjęcia się teoryi przewrotowych, o tyle znów kierownicy hiszpańskiej polityki, jak z powyższego widać, odznaczają się zimną krwią i rozwagą, jakich pozazdrościć by mogli nawet flegmatyczni Anglicy. Ta rozwaga i zimna krew hiszpańskich mężów stanu uratowała koronę, ale zbyt często doprowadza do konfliktu między nimi, a żywiołami przewrotowymi wyrażającymi, jak na prawdziwych synów Południa przystało, swe niezadowolenie przy pomocy bomby, rewolweru lub sztyletu.

O ile zatem w ostatnich latach mało się czytało i słyszało o udziale Hiszpanii w politycznym życiu ogólno światowem, o tyle aż nazbyt często dochodziły nas stamtąd wieści o zamachach, których ofiarą padali wybitni działacze społeczni nie solidaryzujący się z ruchem przewrotowym, owszem, zwalczający go namiętnie, jako szkodliwy dla kraju.

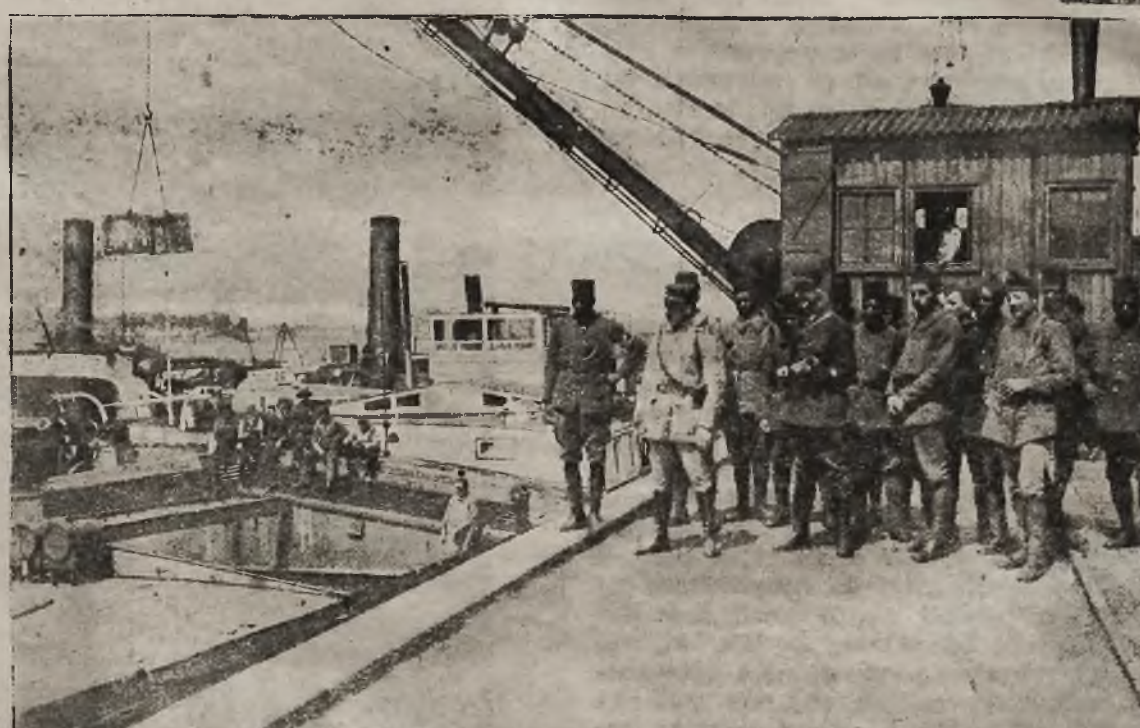
Do ich rzędu należy ostatni zamach na prezydenta gabinetu hiszpańskiego, Datę, który padł od kul rewolucyonistów.

Według telegramów, do powracającego samochodem premiera dano szereg strzałów rewolwerowych. Dato zginął na miejscu, sprawcy na razie zbiegli. Dzięki energicznym poszukiwaniom udało się policyi, odkryć niebawem głównego sprawcę zamachu w osobie anarchisty Ataneo Pedro Mateo, który przyznał się do spełnienia zbrodni i wykazał wspólników.

Zachowanie zbrodniarza, nad wyraz cyniczne, budzi ogólny wstręt w społeczeństwie hiszpańskiem, które żywo odczuło niespodziewaną śmierć wybitnego polityka. W numerze niniejszym podajemy podobiznę tragicznie zmarłego premiera.



Zamordowanie hiszpańskiego premiera: M. Dato, prezydent gabinetu hiszpańskiego.



Wykonanie londyńskich postanowień: Francuska kontrola w porcie nadreńskim.



Wykonanie londyńskich postanowień: Kanonierki angielskie na Renie.



Wykonanie londyńskich postanowień: Tanki angielskie na ulicach Düsseldorfu.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

38 I.

— Jednak zmuszona jestem nalegać moje dziecko. Namyśl się jeszcze.

— A dlaczego nalegać jesteś zmuszoną, moja matko?

— Jest to moim obowiązkiem i nie chcę cię całkiem odosobnić od świata.

— Jednakże, matko moja, nie powinnaś pokusom ułatwiać dostępu do mnie.

— Mylisz się. Wierzę w ciebie i wiem, że się oprzesz wszystkiemu. Takie próby są nawet konieczne — dodała przełożona łagodnie.

— Ja nie chcę więcej widzieć Róży — wyrzekła słabo siostra Gracya.

— Ale dlaczego? powiedz!

— Bo ona przypomina mi moją fatalną, moją rozpaczliwą. miłość, bo zechce mi mówić o Ranierim Lambertinim.

— Miejmy nadzieję, że nie, westchnęła przełożona.

— Tak, ona mi o nim mówić będzie i serce moje cierpieć będzie, to biedne serce moje tak doświadczone już i smutne! Oh! matko moja! Nie każ mi schodzić do rozmownicy! Pozwól, abym pozostała zawsze samą, bym zapomnieć mogła!

— Mówiąc to siostra Gracya upadła na kolana, wyciągając błagalnie ręce.

— Powstań — wyrzekła serdecznie przełożona. Każę odprawić Różę.

Otworzyła drzwi celi i zawołała siostry furtyanki.

— Powiedz tej kobiecie, — rozkazała — że siostra. Gracya do niej zejść nie może.

Furtyanka, potrząsnęła głową.

— Wielebna matko, ona nie chce odejść.

— Dlaczego?

— Bo usiadła przed progiem i powiedziała, że czekać będzie choćby dni kilka, a nie odejdzie nie widziawszy się z nowicyuszką.

— A więc poradzisz jej, aby nie nalegała i nie opierała się.

— Powiem jej, że wielebna matka nie pozwala.

— Nie, powiesz jej, że nowicyuszka nie chce sama się z nią widzieć.

— Tak. To ja sama nie życzę sobie tego widzenia — wyrzekła stanowczo siostra Gracya.

Furtyanka odeszła.

— Dobrze uczyniłaś moja córko — rzekła przełożona patrząc dobrotliwie na młodą nowicyuszkę.

— Pobłogosław mnie moja matko. Jestto moje ostatnie zaparcie się siebie, zaparcie ostateczne i bardzo bolesne.

Pochyliła głowę z pokornem poddaniem, a przełożona złożyła na niej drżącą swoją rękę.

— Boże, błogosław tej duszy, która do ciebie należy — szepnęła z głębokiem wzruszeniem.

Siostra Gracya podniosła się i zamierzała już wyjść z celi, kiedy weszła furtyanka.

— Ta kobieta odejść nie chce. — Mówi, że ma rzeczy bardzo ważne do zakomunikowania nowicyuszce.

— Nie chcę wyjść do niej — szepnęła wahającym głosem siostra Gracya odwracając głowę.

— Czy sądzisz, że to chodzi o „niego" — szepnęła przełożona cicho do ucha nowicyuszki.

— Tak, moja matko. Ona chce ze mną mówić o Ranierim.

— Nowicyuszka zejść nie może — zwróciła się surowo do furtyanki przełożona.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za odchodzącą furtyanką na twarz siostry Gracyi wystąpiła sina bladość, a usta jej zadrgały, jakgdyby chciały wymówić jakieś słowa.

— Czy bardzo cierpisz, moja córko? zapytała przełożona.

— Bardzo...

— Idź, pomódl się w kaplicy. Serce twoje potrzebuje pociechy.

— Pójdę moja matko — wymówiła z trudem nowicyszka wychodząc.

— Ostatnia moja ofiara złożona Bogu — myślała — tłumiąc iży siłą cisnące się do jej oczu. Uczyniłam ze siebie wszystko co było w ludzkiej mocy.

I rzeczywiście, odepchnięcie od siebie Róży, przynoszącej jej wiadomość o jedynym człowieku, którego kochała i w którym pokładała dotąd wszystkie nadzieje swoje, było czynem nadludzkiej mocy i wytrwania. Ale ten człowiek zdradził i Rachela Kabib dumna i ambitna cierpiała teraz podwójnie dotknięta w miłości swojej i godności kobiecej. Dusza jej gorąca i silna nie mogła znaleść żadnego wytłómaczenia dla tej zdrady tak pospolitej, tak nikczemnej, zabijając w pełni życia jej nadzieje i miłość, a popełnionej w sposób tak brutalny.

— I oto Ranieri Lambertini spotkał się z natychmiastową karą za swoją winę! Otrzymał cios śmiertelny, na progu domu zdradzieckiej kobiety, która potrafiła oczarować go do tego stopnia, że zapomniał o dawnych swoich pragnieniach i zobowiązaniach. A uderzony został ręką przyjaciela, brutalnie, podstępnie, w chwili najmniej spodziewanej! A może już nie żył? Cóż ona wiedzieć mogła? Tak, może on już nie żyje? A ona, czy także nie należy już do umarłych?

Młodość jej, piękność, jako rzeczy nieużyteczne i marne zamarły przecież na zawsze dla świata. Wszelka nadzieja rozwiała się! Wszelkie węzły łączące ją ze światem przecięte zostały!...

I pocóż to przyszli naruszać jeszcze jej spokój grobowy?

Czemuż przemocą chciano ją wyciągnąć z dobrowolnie wybranego grobowca? Cóż jeszcze chciano jej powiedzieć? A może chciano ją pocieszyć wiadomością, że on żyje? Dla niej już teraz było to rzeczą obojętną. skoro w niej życie zamarło na zawsze! I cóż zresztą znaczyć mogło jego życie, kiedy miłość nie istniała już. Ohydna zdrada rozszalała się na jej ruinach i śmiała się do niej drwiąco.

Klęcząc na marmurowej posadzce kaplicy, Rachela napróżno przymusić się chciała do modlitwy, do zeskupienia myśli, w cichej kontemplacyi duchowej wznoszącej się do Boga. Lecz serce jej złamane, boleśnie dotknięte nie mogło odczuć w sobie tej wewnętrznej potrzeby. Spokój odchodził od niej. Powstała więc i podeszła do krat wychodzących na kościół do których wolno było się zbliżać w dniach wielkich ceremonii kościelnych. Wsparła czoło o kratę i spojrzała w dół. Kościół był pusty... Pod stopami ujrzała tylko próżnię i półmrok. Po chwili jednak dojrzała klęczącą przy filarze kamiennym postać kobiecą. Wzrok jej przenikliwy i niespokojny rozpoznał Różę, tę wierną, oddaną jej całą duszą starą służącą, która biegła tu do niej z wielką jakąś wiadomością — lecz którą ona, uparcie i zimno odepchnęła od siebie.

Na widok ten, sercem nieszczęśliwej nowicyuszki zatargało rozpaczliwe uczucie. A może prawda i życie ukryte było w słowach tej kobiety modlącej się tam w półmroku pustego kościoła? Może to, co ona wypowiedzieć jej chciała, miało w sobie moc wskrzeszenia jej zamierającej duszy?

Rachela uczepiona krat żelaznych załkała rozpacznie, wiedziała, że tej kobiety nie może z powrotem przywołać do siebie, jeżeli nie chce złamać swojego heroicznego postanowienia i pragnie wytrwać w obowiązkach nałożonych na siebie.

Bo ona, Rachela Kabib, ona nowicyuszka klasztoru „Pogrzebanych żywcem", zdobyła się już raz na najwyższe wyrzeczenie się samej siebie, odepchnęła od siebie prawdę i życie niesione jej przez tę pokorną, wierną kobietę! Jakże więc przywołać ją mogła?

Jakże wyznać mogła matce przełożonej, że żałuje teraz wyrzeczenia się swojego i swojej stanowczości? Jakże wypowiedzieć, że w sercu jej poświęconem jedynie Bogu, gorzą jeszcze ziemskie gwałtowne namiętności?

I teraz, stojąc przy tej kracie, która chłodziła jej rozpalone czoło, Rachela przechodziła nadludzkie katusze, walcząc z szalonem pragnieniem przywołania Róży i wyznania jej, że chce usłyszeć jej słowa choćby one zabić ją miały z radości czy z bólu, że cała jej istota rwie się ku nim utęskniona i że biegłaby po nie, choćby ją potem największe męki czekać miały, ale ze ściśniętej jej piersi żaden dźwięk wydobyć się nie mógł: i wstyd palący gorącą łuną palił jej twarz.

Bezprzytomna prawie i bezsilna ujrzała w końcu jak Róża powstała powoli i ociężale, uczyniła znak krzyża przechodząc przed ołtarzem i następnie znikła w mrocznem oświetleniu nawy kościelnej.

Wszystko więc było już skończone!

Rachela wybiegła jak szalona z kaplicy i jak strzała przeleciała przez długie korytarze klasztorne. W duszy jej czaiła się nadzieja, że przecież Róża powróci przed jeszcze do furty i nalegać będzie na widzenie się z nią. Ale nikt nie nadchodził, nikt! Oh! jakże by teraz wybiegła do rozmownicy na jej spotkanie! Nie zważała na nakaz uczyniony sobie, na wolę przełożonej, pragnącej ją utrwalić w swojem postanowieniu, na nic w świecie! Ale nie przyszedł nikt przywołać ją, nikt się nie zjawił z radosną wieścią! Wszystko więc było skończone, skończone na zawsze!...

III.

Odysea Roberta.

„Drogi i szanowny przyjacielu. Oto, po raz pierwszy, mogę utrzymać pióro w ręce i skreślić tę parę słów. Pierwszą moją myślą, było skierować te pierwsze słowa do Ciebie. Pamiętasz zapewne jaka serdeczna przyjaźń łączyła mojego ojca z Twoim. Jest to wspomnienie bardzo kojące dla mojego biednego wyzięnbiętego serca. Ojciec mój kochał Cię, a ponieważ był to człowiek sprawiedliwy i dobry, nauczyłem się od niego kochać Cię także i szanować. Tak mało osób kochać i szanować można. Życie moje nieraz, było tak puste, tak pozbawione ciepła i celu, że często wzbudzałem w Tobie litość, nieprawdaż mój przyjacielu? Oh! tak! wiem o tem! Wzbudzałem w Tobie litość, w Tobie, tak pełnym życia i zdolności, kochającym wiedzę i wszystko co wzniosłe! Budziłem litość w Tobie, mój przyjacielu bo Ty byłeś zawsze człowiekiem czynu, honoru, chlubą naszego kraju!

A więc teraz, jeszcze większą litość w Tobie obudzę! A jednakże życie moje nie jest już puste i zimne — natomiast jest tragiczne! Jak Ty musiałeś być zaskoczony, tam, na obczyźnie otrzymawszy tę straszną wiadomość! Musiałeś kilkakrotnie zapytywać się, czy to ten sam Robert Alimena, syn przyjaciela Twojego od dzieciństwa. Czy to o nim mówiono, kiedy wspominano o morderstwie, więzieniu, procesie! A więc tak, mój przyjacielu, choć się to nieprawdopodobne wydaje, szczególniej dla mnie, „który wie o wszystkiem", to byłem ja, Robert Alimena, syn starego rodu, sławny sportmen, człowiek bogaty i szczęśliwy, który został oskarżony o chęć zamordowania jednego ze swoich najlepszych przyjaciół!, Ranierego Lambertini. I to dla pewnej hrabiny Klary Loredana, przybyłej niewiadomo zkąd i która tak samo dla Ranierego, jak i dla mnie była istotą obojętną zupełnie. Kilka już miesięcy upłynęło od tej katastrofy. Przyjaciel mój leży jeszcze chory, choć niebezpieczeństwa już niema, hrabina znikła, a ja wyszedłem z więzienia, prowizorycznie zagrożony procesem ohydnym! Takie jest moje położenie!

W więzieniu trzymano mnie niedługo, ale zaręczam Ci, że było mi tam bardzo źle. Potrzebuję czuć pod nogami miękki dywan, by módz patrzeć na życie niekoniecznie tylko ze złej strony — a w więzieniu, niestety tej rzeczy tak mi potrzebnej użyczyć mi nie chciano. Żartuję w tej chwili, szanowny mój przyjacielu — ale wówczas, wierz mi, wcale do żartów nie miałem ochoty. Przyznaję, że ten kaprys losu, który ze światowego, wytwornego człowieka, przekształcał mnie w mordercę, który z willi mojej przeniósł mnie do więzienia, a stamtąd może na zesłanie zadrwił sobie za silnie ze mnie. Byłem przygotowany na wszystko. Od tego dnia, w którym to, w pociągu wiozącym mnie z Neapolu do Rzymu spotkałem tego okropnego garbusa o zielonych oczach, odkąd w hotelu w Rzymie odkryłem w tajemniczem pudle tę przepiękną kobiecą rękę, powiedziałem sobie i powtarzam, że oczekuję bez zdziwienia na najróżnorodniejsze i najdziwaczniejsze wydarzenia. Kilkakrotnie groziło mi już niemałe niebezpieczeństwo, ale umiałem obronić się przed niem zawsze w samą porę; lecz to ostatnie nieszczęście, które na mnie spadło było naprawdę całkiem nieprzewidziane.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

37

I.

(Dokończenie)

— Żal? Chyba przeciwnie — śmiała się Stasia. Uwolniłeś mnie bezwiednie tatusiu od tego wstrętnego człowieka. Jeżeli mam jaki żal do ciebie, to za to, że wogóle porzuciłeś dawną pracę i zabrałeś się do tych wstrętnych interesów.

— No, no — już nie mówmy więcej o tem. Przyrzekam ci, że się drugi raz na to złapać nie dam. Staraj się tylko wpłynąć na Kazię, żeby się opamiętała trochę, bo aż przykro patrzeć na nią.

Kazia rzeczywiście wyglądała jak istota, w której dusza nagle zamarła. Cały dzień nieuczesana, zaniedbana, w wymiętych szlafrokach, pozostałość dawnych zbytków, siedziała na jedynej kanapie znajdującej się w mieszkaniu, zamyślona, bez słowa, lub też wczytywała się w książki uratowane od ogólnej wyprzedaży. Napróżno Stasia starała się ją rozerwać, zachęcić do powrócenia do dawnego zajęcia. Kazia odpowiadała niechętnie.

— Zostaw mnie w spokoju. Nie każdy ma twoje usposobienie. Ty i o suchym kawałku chleba czuć się będziesz zadowoloną. U ciebie jest wielki brak ambicyi. —

— Niewiem, czy jest to brak ambicyi — broniła się Stasia — ale przecież nie można tak żyć, w ciągłem zatapianiu się i rozpamiętywaniu przeszłości. — Trzeba pomyśleć o dniach następnych moja Kaziu. Jestem bardzo zadowolona, że rok szkolny się już zaczyna. W tym roku zdam maturę i już będę mieć własny kawałek chleba w ręce.

— A zdawaj sobie — mówiła apatycznie Kazia — Dużo ci z tego przyjdzie. Namęczysz się tylko nad uczeniem późniei cudzych dzieci, bo o bogatem małżeństwie chyba marzyć nie możesz. Więc za kogo ty wyjdziesz, powiedz mi? Za jakiego marnego urzędniczynę, albo za rzemieślnika! Ładna perspektywa!

— Oh! żeby mnie tylko chciał — śmiała się serdecznie Stasia, wierz mi, żebym się długo prosić nie dała. Niechby tylko był uczciwy człowiek i kochał mnie.

Kazia wzruszała pogardliwie ramionami i powracała z ciężkiem westchnieniem do swojej książki, szukając w niej tych wrażeń i wzruszeń, których jej życie dać nie chciało.

Tymczasem Gawlikowa, narzekając na los swój, krzątała się po kuchni, wylewając całą gorycz swoją i zawód przed Olearczykową, która pomimo oziębłości Kazi i jej niemiłych uwag, potrafiła znowu zdobyć sobie zaufanie Gawlikowej i wywoływać jak dawniej jej zwierzenia przy szklance herbaty z rumem.

Pewnego wieczoru, przyszedł Grodzicki, który przez parę dni nie pokazywał się wcale.

— No, Władek, mam posadę dla ciebie — zawołał wchodząc — skończy się już twoje przymusowe bezrobocie.

Gawlik odłożył gazetę, którą czytał i z ożywieniem spojrzał na niego.

— Posadę? powtórzył. — Oj! zdałaby się, bo mi się na dobre nudzić zaczyna. — Co to takiego?

— Rozmówiłem się z dyrektorem naszej fabryki i od jutra możesz objąć zajęcie. Będziesz u nas magazynierem.

— Magazynierem! zawołała Gawlikowa wybiegając z kuchni — Chyba żartujesz! Władek nigdy takiej posady nie przyjmie! To dobre dla jakiego stróża, albo robotnika!

— A czemże ty chcesz, żeby on był — obruszył się szorstko Grodzicki — Księciem udzielnym! Daj ty spokój i najlepiej nie wtrącaj się do niczego. Już raz przez ciebie i Kazię dosyć głupstw się narobiło. Ale teraz ja już na to nie pozwolę — Chcesz znowu sprowadzić jakie nieszczęście. Władek dzięki Bogu opamiętał się i nie ulegnie twoim zgubnym wpływom. Zresztą ja nad tem czuwać będę.

— Czyś ty oszalał! krzyknęła w pasyi Gawlikowa. Rządzić się w moim domu będziesz? Ja to może niemam mieć głosu — co?

— Jak się opamiętasz, to i twojego zdania się wysłucha — odparł spokojnie Grodzicki — Bój się Boga kobieto! jeszcze ci mało tej ostatniej nauki — Patrz, coś zrobiła z Kazi! Twoje pobłażanie i głupie wymysły w głowie jej całkiem przewróciły. Chyba chcesz, aby została starą panną — co?

Ciekawam za kogo wyjdzie — jak będzie mieć ojca magazynierem.

— Lepiej być magazynierem, niż krętaczem i paskarzem — wyrzekł ostro Grodzicki. — Zresztą niemam z tobą nic więcej do gadania — Władek, zwrócił się do Gawlika — Chcesz przyjąć to zajęcie?

— Pytasz mi się czy chcę? Ależ oczywiście!... pośpieszył z zapewnieniem Gawlik. Bardzo ci jestem wdzięczny, żeś o mnie pamiętał.

— A więc jutro przed ósmą zgłoś się do mnie do fabryki. Przedstawię cię dyrektorowi.

— Dobrze. Stawię się punktualnie.

— Ot! patrzcie! dwoje mądrych się dobrało — mruknęła Gawlikowa cofając się do kuchni.

Już od jakiegoś czasu zauważyła, że jej autorytet domowy zaczyna słabnąć. Grodzicki z Gawlikiem szeptali po kątach nie wtajemniczając ją w swoje sprawy. Gawlik zaś na wymówki jej nie odpowiadał wcale, zasklepiając się w poważnem milczeniu, a jeżeli odezwał się to najczęściej ostro, energicznie, tak, jak nigdy tego dotąd nie bywało w domu.

— Odmieniło go coś — wzdychała Gawlikowa. Nic, tylko ten Grodzicki podtrzymuje go przeciwko mnie! Ale niechby już tam robił po swojemu, byleby dobrze było i moja Kazieczka nabrała humoru. —

Cios, który na nie spadł tak nieoczekiwany Gawlikowa odczuła boleśnie i poraz pierwszy w życiu uczuła w sobie coś w rodzaju lęku przed odpowiedzialnością, braną dobrowolnie dotąd na siebie.

Niekiedy dawne jej despotyczne porywy napadały ją, obudzając w niej złość za „niedołęstwo" męża, ale przygnębienie jej i zmęczenie przeżytem zmartwieniem za silne było, aby długo się w tym wojennym nastroju utrzymać mogła.

Więc i teraz powróciła do swoich zajęć w kuchni — wzdychając ciężko.

Ah! niechże już tam sobie radzą jak chcą, byleby z tej rady coś dobrego wypadło! Już sił niemam do ciągłej walki z nimi.

Grodzicki tymczasem długą chwilę szeptał coś z Gawlikiem, którego zgnębiona twarz ożywiła się w końcu uśmiechem pełnym zadowolenia i nadziei.

— Daj Boże! Daj Boże — wymówił gorąco — Żeby choć ona była szczęśliwa, to już dla siebie nic od losu nie żądam. Dobre, poczciwe dziecko, zasłużyło sobie na to.

Grodzicki wstał i poszedł do drugiego pokoju, w którym nad książką siedziała Stasia.

— Przychodzę z wiadomością, która powinna cię ucieszyć — wyrzekł serdecznie siadając przy niej.

— Z wiadomością? Jaką wujku? — spytała ciekawie.

— No, zgadnij! —

— Będzie posada dla tatusia.

— O tem się już wie. — Nie zgadłaś!

— No co wujku? Co? przymilała się Stasia, której oczy rozbłysły nagle wielką radością.

— Nic ci przeczucie nie mówi? drażnił się z nią Grodzicki.

— Oh! wujku, jaki wujek niedobry tak mnie dręczyć — zawołała Stasia ukrywając twarz w rękach.

— Rzuć tę książkę i przygotuj się na wizytę — szepnął jej do ucha Grodzicki — całując w głowę.

— Kto przyjdzie, wujku, kto?

— No, chyba nie spodziewasz się pana Markiewicza!

— Oh! jeszcze by!

— Felka tu przyjdzie zaraz, a może ktoś z nią jeszcze — uśmiechnął się Grodzicki ubawiony zachowaniem się dziewczyny.

— Oh! wujku, wujku! szepnęła Stasia nie mogąc więcej wymówić ze wzruszenia jakie ją ogarnęło.

— Nie przyszła góra do Mahometa, przyszedł Mahomet do góry.

— Przecież wujek wie, że ja pierwsza po tem co zaszło nie mogłam — broniła się Stasia. Czyż mogłam wiedzieć, jak oni mnie przyjmą. — Zresztą mama — szepnęła niespokojnie. — Jak ona przyjmie Felkę? Taka do nich zawsze była uprzedzona.

— Nie kłopocz się już tem. Matka teraz na wszystko się już zgodzi.

— To nie może być? zawołała Stasia nie wierząc we własne szczęście.

— Kiedy ci mówię, to tak musi być — obydwaj z ojcem wzięliśmy to na siebie.

— Więc tatuś już się zgodził? — zerwała się Stasia z krzesła i pobiegła do ojca, któremu rzuciła się na szyję.

— Zgodził się, zgodził się maleńka — wymówił ze wzruszeniem Gawlik całując ją serdecznie. Ten rok jeszcze poświęcisz nauce, a po maturze sprawimy weselisko.

— Ale mama i Kazia — zaczęła znowu Stasia — wskazując niespokojnie na drzwi kuchni, zkąd dochodził płaczliwy głos Gawlikowej, skarżącej się na coś przed córką.

— Mama się musi dać uprosić, a Kazię może do tego czasu wydamy także za jakiego porządnego chłopca, żeby ją serce bardzo nie bolało — zaśmiał się Gawlik, w którego nowe życie wstąpiło na widok radości bijącej z twarzy Stasi.

— — — — — — — — — — — — — —

W niespełna rok potem na Smoleńsku, w kościele Felicyanek, jarzącym się od świateł i przybranym na tę uroczystość w zieleń i kwiaty, odbył się w cichy czerwcowy wieczór ślub Stasi z Frankiem Kuźmą.

Gawlikowa, w jasnej, orzechowej jedwabnej sukni z lepszych czasów, patrzała pobłażliwem okiem na młodą parę promieniejącą szczęściem i szeptała ciągle coś do Grodzickiego, wskazując na Kazię, wesołą, uśmiechniętą, rozmawiającą z ożywieniem z młodym, przystojnym chłopcem, drużbą i przyjacielem Franka. —



ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

47

Mrs. Armine przywołała na pomoc całą swą odwagę, cierpliwość i siłę woli i zaczęła pracować nad sposobem wydostania się z miejscowości, której z każdym dniem więcej nienawidziła. Obecnie jej położenie, tak różne od dawniejszego życia, rozbudziło w niej rodzaj nerwowej rozpaczy, a ta rozpacz uczyniła ją niebezpieczną. A ponieważ stała się niebezpieczną, udawała szczęśliwą. Nigel mówił sobie, że jego próba miłości dobrze się udała, przywrócił Ruby jej własny szacunek, spokój ducha i ciała, a sam doznał pociechy i radości.

W tej radości natura jego się rozwijała, energia wzmogła, umysł dojrzewał, a serce pałało. Oddał się pracy ze zdwojoną siłą, używał rozrywek, jak przejażdżki, polowania, rybołóstwo z zapałem chłopca na wakacyach.

Mrs. Armine została wynagrodzoną za swe zręczne wysiłki szczęściem i wdzięcznością swego męża. Wkrótce zdołała wpoić w niego przekonanie, że wyszła za niego skutkiem dobroci, że dużo poświęciła, zgadzając się na ten krok. Nigdy się nie skarżyła, lecz nieraz, jakby przypadkiem, dawała do poznania, że dla idei wyższego postępu pogodnie znosi różne niewygody. Nie było prawie dnia, żeby mu nie przypominała, że dla niego po raz pierwszy w życiu obchodzi się bez pokojowej. Nie mówiła jednak: „żałuję, że odprawiłam Manię", lecz metodą jej było: „jak to dobrze żeśmy się zdecydowali rozstać z Marią. Nigel! Czułaby się tutaj nieszczęśliwą. To życie byłoby ją zabiło, pomimo, że je tak dobrze sama znoszę. Ale służba nigdy się nie wyrzeknie swoich wygód. Jaki ty dobry, że pozwalasz mi się ubierać byle jak". Takie rzeczy były wypowiadane głosem radosnym, w którym było znać przymus.

Przy obiedzie mówiła: „Czy to nie dziwne, Nigel, jak człowiek prędko obojętnieje na jedzenie, byle tylko zaspokoić swój głód. Przypominam sobie czasy, kiedy, jak na kobietę, byłam prawie epikurejczykiem, a teraz ze smakiem połykam obiady Mahamunda. Podej mi jeszcze tej dziwnej mięszaniny, którą on nazywa potrawką".

A w łóżku w nocy, lub paląc samotnie fajkę zewnątrz namiotu, Nigel myślał: „Na Jowisza! Ruby jest unikatem, żeby się zadawalniać potrawami Mohamunda po kuchni, do której była przyzwyczajoną!" pomimo. że poprzednio winszował sobie, że mu się udało przyjąć za wysokiem wynagrodzeniem najlepszego oborowego kucharza, którego można było znaleźć w całym Egipcie.

Ustawicznie, w tysiączny sposób przypominała mu zbytek, w którym przez tyle lat żyła. I nie zdawała się nigdy żałować, przeciwnie winszowała sobie, że się go wyrzekła dla innego, bardziej spartańskiego trybu życia. Często, a właściwie zwykle mówiła, jakby byli niezamożnymi ludźmi, jakby wyszła za zupełnie ubogiego człowieka.

„Nie mogę pozwolić, żebyś był lekkomyślnym, mówiła, kiedy proponował coś kosztowniejszego. „To nie tak, jak gdybyśmy byli bogaci, lubię wydawać pieniądze, lecz nie chcę wpędzać cię w długi".

A kiedy Nigel zaczynał jej tłómaczyć, że może sobie doskonale na to pozwolić, łagodnie i wesoło przerywała uwagi: „zapominasz, że twoje położenie jest teraz innem, od kiedy twój brat doczekał się dzieci". Raz jednak uparł się i przedstawił jej stan swoich interesów, chcąc jej pokazać, że mają dość, żeby módz „sobie pozwolić". Wynik był zupełnie przeciwny od tego, jakiego się spodziewał. Przez chwilę zdawała się być ogłuszoną niespodzianą wiadomością, poczem, przychodząc do siebie, rzekła stanowczo: „jeżeli to wszystko, co posiadamy, mam zupełną słuszność będąc oszczędną. A przytem to bardzo zdrowo dla mnie myśleć o pieniądzach. Byłam zawsze przyzwyczajona wydawać za wiele, żyłam zanadto zbytkownie. Zmiana na życie proste i oszczędne wpłynie na mnie korzystnie, bez względu na to, czy mi się będzie podobało, czy też nie".

Stłumiła westchnienie i uśmiechnęła się do niego z rezygnacyą. Lecz nigdy nie przeciągała struny, nie podkreślała niczego, ani nie odgrywała roli męczennicy, gdyż wiedziała, jak prędko mężczyźni są żonami-męczennicami znudzeni.

Nie zapominała także zadawalniać go w inny sposób; nie pozwalała mu zapominać, że była zawsze piękną, godną pożądania kobietą, która mu się całkowicie oddała. Stopniowo doprowadziła go do tego, że nie mógł się bez niej obejść. Wpoiła w niego przekonanie, że powinien jej być podwójnie wdzięcznym — wdzięcznym za moralną radość, którą czuje wspaniałomyślny mężczyzna, że kobietę podniósł i zwrócił do dobrego i wdzięcznym za radość fizyczną silnego, zdrowego mężczyzny, który może legalnie połączyć zadowolenia moralne z zadowoleniem innego rodzaju.

Podobała się Niglowi w Anglii, kochał ją w willy Androud: lecz to podobanie się i ta miłość były niczem w porównaniu z uczuciem, które w nim powstało wśród roślinnej zieleni Fayum.

Kochał naturę i lubił z nią się jednoczyć. Często, stojąc wśród srebrzysto zielonego morza trzciny cukrowej, lub spoglądając na wierzchołki palm szumiących nad jego głową, słuchając szelestu zboża, lub chrzęstu donry trąconej powiewem wiatru, porównywał swoją wzrastającą miłość dla Ruby do wzrostu tych dzieci natury w tutejszym błogosławionym klimacie.

Lecz była także pustynia, ciągle mu przypominająca jałową pustkę świata — pustkę potrzebującą uprawy w ludzkości i w nim samym.

W swem rozradowaniu nie tracił nigdy największego wdzięku swego charakteru, wdzięku głębokiej pokory.

A Ruby czyniła mało błędów. W towarzystwie męża jej obecnie nie malowana twarz wyrażała zawsze pogodę. Pracowała usilnie i odważnie nad wydostaniem się z życia, które było wręcz przeciwnem jej usposobieniu, do którego czuła największy wstręt.

Lecz nieraz sobie mówiła, że gdyby nie było Hanzy i Ibrahima w obozie, nie zniosłaby tego życia. Obecność ich znaczyła, że nie była zapomnianą, że podczas, gdy ona była cierpliwą tutaj, — w odległej miejscowości nad wielką rzeką, w złotym klimacie Górnego Egiptu, ktoś inny był także cierpliwym.

Niemniej pożerała ją zazdrość, która zamiast się zmniejszać skutkiem nieobecności, z dniem każdym się zwiększała, wzbudzając w niej silną wyobraźnię, o której nawet nie wiedziała, że ją posiada. Znała mężczyzn jako rasę *à fond* — a znając ich niestałość, łatwość zapomnienia, gotowość do zadowolnienia się czem innem, znając ich niespokojny temperament, brak powściągliwości, a do tego wszystkiego dodając jeszcze osobistą znajomość Barondi'ego, jako młodego, silnego, niczem niepohamowanego człowieka Wschodu, stawała się igraszką swej wyobraźni, która ją dręczyła w okrutny sposób.

Przypominała sobie swą piękność i że za wszelką cenę musi ją zachować jaknajdłużej i przeklinała swą nieujarzmioną naturę. Ten klimat Faymu działa na nią bardzo korzystnie i życie na otwartem powietrzu, oczyszczonem podmuchami wiejącymi z pustyni Libijskiej, wpływało znakomicie na jej zdrowie, pomimo moralnych tortur, przez które przechodziła.

Egipt przywrócił jej młodość. A w tym rozkwicie potęgowało się pragnienie pełnego życia, pragnienie szczęścia. Tęsknota za Barondi'm dlatego, że się jej podobał i że mógł ją otoczyć zbytkiem. Wraz z fizycznym pożądaniem obudziła się w niej brzydka chciwość, przeważna strona jej charakteru — chciwość prawdziwej materyalistki, dla której niema wartości, co nie kosztuje czyichś *„yeux de la têti"*. Była kobieta, która lubi, żeby się ktoś dla niej rujnował. Odczuwała prawie fizyczną przyjemność w wyrzucaniu pieniędzy i często w duchu słyszała słowa Hassana patrzącego poprzez Nil na Lonlię, szepcząc: „Mahmond Barongi bogaty! Mahmond Barondi bogaty!" i wyrywała się nietylko do Barondi'ego, lecz i do jego złota.

Wreszczcie kryzys nadszedł.

Po krótkim pobycie pod Sennonres, obóz został przeniesiony na koniec oazy, tak, żeby Nigel mógł mieć swe pole pod ręką. Tutaj bogata urodzajność, bujna roślinność uciekała przed pustynią i co nocy, przez otwarte drzwi namiotu Nrs. Armine mogła widzieć bladą jałowość bezbrzeżnych piasków, ginących w ciemności. Widok ten z początku ją pociągał i nasta wała ucho na głos Wschodu, lecz wkrótce u zuła się przygnębioną tą cichą, pustą krainą, która jej przywodziła na pamięć pustkę, do której są wtrącone niektóre kobiety, kiedy pora ich tryumfu minęła. Nie powiedziała tego Niglowi, lecz pod pozorem, że wiatr podnoszący się nocą z pustyni, przejmuje ją chłodem, kazała odwrócić swój namiot tak, żeby wejście było od strony oazy i usiłowała zapomnieć o pustyni.

A jednak czuła dziwny pociąg do tych smutnych przestrzeni, ziejących pustką i przerażeniem. Często doznawała niepokojącego pragnienia zbliżyć się do rzeczy, które się obawiała, która budziła w niej proroczy strach przyszłości, kiedy jej powtórna młodość przejdzie bezpowrotnie, i kiedy Nigel wspomniał któregoś dnia, że chciałby sobie zrobić kilkudniowe wakacye i przenieść obóz do dzikiej miejscowości, gdzie Ibrahim i Hanza obiecują mu wspaniałe polowanie na kaczki, a Ruby mogłaby się zapoznać ze szczerą pustynią Libijską, przyjęła tę propozycyę skwapliwie. Każdy ruch, każda zmiana były dla niej pożądane i — zetknęłaby się bliżej z tem czego się bała.

Tak więc jednego poranku wielbłądy poklękły, namioty zostały zwinięte i pospieszyli w dziale strony.

Uczynili *„détour"* w oazę, ażeby dać czas beduinom ustawić namioty, a Ibrahimowi parę godzin dla przygotowania wszystkiego na ich przyjęcie.

Godzina była już popołudniowa, kiedy się znaleźli na drodze, wiodącej do jeziora Kurom, pozostawiając za sobą laski palmowe i chaty fellahów, jadąc zwolna w stronę wydm piaszczystych. ukazujących się w oddali, gdzie majaczą brudne i wypłowiałe namioty cyganów i prawie nagich rybaków, jedynych mieszkańców tego pustkowia, w którem słone wody i piasek spotykają się z zaroślami tamaryszku.

Dzień był smutny, szary, spokojny, niebo wydawało się niższem niż zazwyczaj w Egipcie. Stada dzikich gołębi unosiły się powietrzu, kołując nad coraz zmniejszającemi się zagonami zboża i cieukimi strumykami wody, które wkrótce miały zniknąć przed pańsłwem jałowości. Poganiacze wielbłądów śpiewali przenikliwym, choć przyciszonym głosem pieśń o piaskach pustyni. Hanza, który towarzyszył małej karawanie, mając w pogotowiu osła dla Mrs. Armine na wypadek, gdyby chciała na niego się przesiąść trzymał się ze swą hieratyczną pałeczką stale na końcu.

Na wełbłądzie Nigla zwieszały się jego strzelby. Rad był ze swych wakacyj. Ciężko pracował ze swymi fellahami, pozostając nieraz po kolana w błocie i wodzie, przykładając nawet rękę do pługa. Pustkowie do którego dążyli

— Nienawidzeć Nie, to nowość, to coś niezwykłeg, to mnie podnieca, zajmuje.

przedstawiało się mu jakby ziemia obiecana, gdyż jechał do niej w towarzystwie Ruby i mieszkały w niej tysiące dzikich kaczek i szakalów, które wychodzą w nocy pomiędzy zarośla tamaryszku.

— Zdaje mi się, że jedziemy na koniec świata. — odezwała się Mrs. Armine.

Była łagodnie kołysaną ruchem wielbłąda który właśnie skręcił na prawo po drugiej drodze wytkniętej w prostym zupełnie kierunku. Piaski się ukazały. Po lewej stronie sączył się leniwo strumień wody. Zboża czyniły się coraz rzadsze, już nigdzie chat, ani szałasów, tylko w oddali widniały brunatne i czarne namioty.

— Czy ktokolwiek tutaj mieszka? — dodała — czy to rzeczywiście namioty?

— Tak Ruby.

— Wydaje się nieprawdopodobnem, żeby jaka ludzka istota miała ochotę tu żyć.

— Czy nigdy nie czułaś wołania pustyni? — zapytał.

Spojrzała na niego i prędko rzekła:

— Oh, tak. Lecz my, to co innego. Przybywamy tutaj dla nowych wrażeń, dla zmiany i możemy wyjechać, kiedy zechcemy. Lecz wyobraź sobie takie miejsce na stały pobyt!

— Wolałbym żyć tutaj, niż w każdym prawie mieście.

Milczał przez chwilę i twarz jego straciła swój adosny wyraz, stała się zafrasowaną.

— Ruby, czy ty nienawidzisz tego wszystkiego?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

I znów doczekaliśmy się szczęśliwie Wielkanocy, kto jej zaś nie doczekał, ten sam sobie musi przypisać winę. Niechaj go to jednak pocieszy, że żałować czego nie ma, bowiem Święta Wielkanocne, z rzędu wojennych siódme, są conajmniej siedmkroć gorsze od poprzednich. Nauczyliśmy się dzięki wojnie przestawać na małem, powoli przywykniemy do obchodzenia się bez wszystkiego wogóle, zadowalniając się jedynie wdychiwaniem świeżego powietrza (co dotąd dziwnym zbiegiem okoliczności jeszcze nic nie kosztuje), w każdym przecież razie robi się człowiekowi jakoś niewyraźnie w okolicy serca i żołądka, gdy spojrzy na stół, na którym niegdyś zastawiano święcone, przypomni sobie dawne czasy i porówna je z obecnymi... Z roku na rok przedstawiał się on coraz skromniej, znikały zeń kolejno te i owe przysmaki, tłómaczyliśmy to sobie jednak, wmawiając w siebie, że już następny będzie lepszy, trzeba tylko „przetrzymać". W tej cnocie „przetrzymywania" ćwiczyliśmy się lat z okładem sześć i ostatecznie doczekaliśmy się Wielkanocy w roku Pańskim 1921 bez święconego, a nawet bez jajek wielkanocnych, na których zakupno nie pozwala zwykły budżet domowy, a gdyby nawet znalazły się na cel jakieś nadzwyczajne kredyty, stanie na przeszkodzie niemożebność ich zakupna, gdyż wojna wpłynęła bardzo ujemnie i na kury pod względem jajeczności.

Doczekaliśmy zatem szczęśliwie „Wesołego Alleluja", czy jednak tegoroczną Wielkanoc spędzimy naprawdę wesoło, to bardzo wątpliwe. Kronikarz ma tu na myśli naturalnie proletaryat inteligentny, nie zajmujący się paskiem i nie mający takich dochodów, jak ci, którzy pracują fizycznie, nie umysłowo. A wesołe spędzenie tych dwu, ewentualnie trzech dni świątecznych wyobraża sobie według starego zwyczaju, to jest przy zachowaniu tradycyi, że Święta Wielkanocne mają dać sposobność bodaj raz w rok użycia sobie na tych specyałach, od których ugina się stół, a gospodyni z miłym uśmiechem podsuwa półmisek za półmiskiem i zachęca tak serdecznie, że trzeba być chyba z kamienia, by nie posłuchać jej wezwania. — Staropolska gościnność znajdowała w tym czasie piękne pole do popisu, nic też dziwnego, że wiele jednostek obu rodzajów narzekało potem na niestrawność i powtarzało z goryczą słowa poety:

„Szlachetne zdrowie,
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz..."

A gorycz to prawdziwa, gdyż ci, którzy zbytniem smakowaniem zdrowie zepsuli, naprawiać je musieli przy pomocy pigułek Morissona lub wody gorzkiej. Wpływało to przecież ożywiająco na nasz handel z zagranicą, skąd się te specyfiki sprowadza, a trzeba przyznać, nie kosztowało zbyt wiele. Wydatek jednej korony wystarczył na zupełne przyprowadzenie zdrowia do równowagi, miał z tego pożytek i aptekarz, który czas poświąteczny uważał za swój „benefis" i przygotowywał się doń należycie, gromadząc różnego rodzaju „środki wybuchowe".

Dziś odpada to wszystko. Staropolska gościnność wzięła w łeb, na drzwiach mieszkania przybija się kartkę z napisem: „Wyjechaliśmy do Zakopanego", nie wystawia się nosa na Boży świat, choćby pogoda była najcudowniejsza, aby przypadkiem „nie ściągnąć gości", gdy się zaś trafi ktoś z bliższych któremu trudno drzwi pokazać, w duchu prosi się Pana Boga, aby sobie poszedł dalej jak najprędzej. Bo i jak tu dzielić się z kimś tym funtem szynki i kilogramem kiełbasy, który wraz z bochenkiem chleba kosztował tysiąc marek, a ma wystarczyć dla całej rodziny bodaj do środy, niema bowiem bynajmniej perspektywy, by kogoś odwiedzić i tam sobie porządnie podjeść i podpić, gdyż i tamci „wyjechali do Zakopanego".

O ile zatem dawniej gospodyni, która miała do dyspozycyi sto koron na urządzenie święconego, „postawiła się" i udekorowała stół, aż się doń oczy śmiały, a potem narzekała, że gości nie widać..., o tyle w dzisiejszych czasach za tysiąc marek przyniosła ze sobą do domu w ręcznej torebce „zapasy" świąteczne i drży na samą myśl, że może się „ktoś trafić"..., i do tego głodny. A takich, zwłaszcza w pierwszy dzień Świąt, gdy restauracye będą zamknięte, a większość znajomych „wyjechała do Zakopanego", z pewnością nie braknie. Zapasy owe, które mają przez kilka dni ratować rodzinę od głodowej śmierci, a w budżecie domowym uczyniły poważny wyłom, zwłaszcza, że święta jak na złość, przypadły na sam koniec miesiąca, kryje się troskliwie przed okiem ciekawego i głodnego.

W tych warunkach, o ile sam kto nie jest paskarzem lub nie ma w tych sferach znajomości, trudno będzie nabawić się niestrawności z powodu przejedzenia, na czem najgorzej wyjdą aptekarze, narzekający zupełnie słusznie na fatalne następstwa wojny, tak dające się odczuć nie tylko w kuchni domowej, ale i... łacińskiej.

Ci natomiast, którzy w tym okresie corocznie psuli sobie zdrowie, a potem je naprawiali, mogą sobie powiedzieć, że „zrobili terno", byliby bowiem w kłopocie, co począć, gdy pigułek Morissona brak, a niema też i gorzkiej wody, uznanej przez warszawskie sfery decydujące za artykuł zbytku, zupełnie zresztą słusznie w czasach, w których się nawołuje społeczeństwo „do przetrzymania". Wobec tego flaszka Hunyadego lub Franciszka Józefa (tej dotąd stale używają byli austryaccy patryoci, radcy cesarscy i t. p.) tak podskoczyła w cenie, że, aby sobie módz zrobić podobną przyjemność, trzeba być w samej rzeczy paskarzem, kamienicznikiem z „świadczeniami dodatkowemi", lub robotnikiem, którego praca nie ma z głową nic wspólnego (chyba, że jest kapelusznikiem lub fryzyerem... przyp. zecera). Proletaryusz inteligencyi, który chciałby sobie na podobny luksus pozwolić, musi się nad tem dobrze i długo zastanowić, lepiej i dłużej, niż w czasach przedwojennych, gdy wypadało „postawić butelkę szampana".

Jak się zatem obecnie zapowiada, a od Świąt dzieli nas zaledwie parę dni, nie można się zatem spodziewać żadnej nadzwyczajnej gwałtownej zmiany, nie zapowiadają się one zbyt wesoło, co przecież nie uwalnia kronikarza od podzielenia się już dziś z Czytelnikami święconem jajkiem i złożenia serdecznych życzeń „Wesołego Alleluja!"

Że jednak, jak się wyżej już wspomniało, dokucza nam brak tego, jak się zdawało przedtem, niezbędnego do złożenia życzeń artykułu spożywczego skończyć się musi na gratulacyach „na sucho".

Będą one wogóle suche, trzeba bowiem słowo w słowo powiedzieć to samo, co się rzekło rok temu, nabijając kawałek jajka na widelec:

— Jest źle, ale rok następny będzie już lepszy!

Powtarza też je kronikarz *urbi et orbi*. Czekajmy cierpliwie, a doczekamy się niezawodnie lepszej przyszłości. Spełni się siedm lat chudych (kończy się już w lipcu!), nastaną te tłuste, a będzie ich może więcej niż siedm (nie kładąc tamy dobroczynności). Na początek, w roku następnym, niech wrócą na nasz stół bodaj jajka i pieprz, potem kolejno i inne specyały, w miarę tego, jak kolejno z porządku dziennego schodziły.

Nigdy zatem nie miało odpowiedniejszego zastosowania życzenie „Wesołego Alleluja", jak obecnie. Aby w samej rzeczy „przetrzymać", trzeba się uzbroić w umysł pogodny, umiejący sobie wytłómaczyć, że jest wprawdzie źle, ale Bogu dziękować, że nie jest jeszcze gorzej. Bo, czy byłoby nam przyjemnie, gdyby, daimy na to, była się spełniła przepowiednia meksykańskiego astronoma pana Porty i świat w r. 1918 wpadł był w ową dziurę na słońcu, której wprawdzie nie widzimy, ale w jej istnienie wierzymy. Byłoby nam, co prawda cieplej, co przecież nie zrównoważa innych „przyjemności", z podobnem wpadnięciem połączonych. Na szczęście pokazało się, że „wpadł" sam pan Porta z swą przepowiednią.

Nie należy więc zbyt brać sobie do serca przeciwności i dzięki im, upadać na duchu, przed czem przestrzega nawet pan fizyk krakowski w swoich przykazaniach zdrowia, lecz perswadować sobie, że, choć jest źle, mogło być gorzej, a nie jest wykluczone, że będzie lepiej. Do tego zaś potrzebną jest swoboda umysłu czyli tak zwane popularnie „gwizdanie na przeciwności losu". Ponieważ zaś gwizdanie uważają psychologowie zazwyczaj za objaw wesołości (choć może być równie dobrze i rezygnacyi), niech nam będzie zatem wesoło, czemu znów nie przeszkadzają te pustki, jakie stół świąteczny przedstawia. Bieda wesołości nie wyklucza, jak to stwierdza przysłowie: „Choć bieda, to hoc".

Skakać oczywiście, zwłaszcza kto niema do tego ochoty, nie potrzeby, wystarczy pogodnie spoglądnąć przed siebie, za siebie się nie oglądając, aby niepotrzebnie nie budzić przykrych wspomnień. Jest źle, mogło być gorzej..., będzie lepiej, a choć nie wiemy kiedy, tem lepiej, gdyż spodziewana poprawa nie sprawiłaby takiej przyjemności, jak oczekiwana na pewne.

W tej też myśli powtarza kronikarz swoje zeszłoroczne życzenia: „Cierpliwości, a przecież jakoś przetrzymamy!..." — a jako konieczny tego warunek dodaje: „Wesołego Alleluja!..."

Mieliśmy szczęście, że doczekaliśmy się tegorocznych Świąt Wielkiejnocy, być może, że w szczęśliwą chwilę padną te życzenia, to jest, że się spełnią i to jak najrychlej. Kto zatem płacze i narzeka, ten źle czyni, gdyż miast dodać sobie ducha do tego „przetrzymania", jeszcze sobie go odbiera. Z braku szynek, kiełbas, babek, mazurków, jeszcze nikt nie umarł, przeciwnie, nadmiar ich oblał już niejeden i niejedna gorzkiemi łzami i gorzką wodą.

Powie kto może: „nadzieja matką głupich"... Na to odpowie mu kronikarz, że, z tego punktu zapatrując się na życie, powinniśmy wszyscy być głupcami, cóż ono bowiem warte, jeżeli nie jest ozłocone nadzieją?... Jej promienie rozjaśniają nam drogę życia, dodają do niego otuchy. Nie tracić nam zatem nadziei, że będzie lepiej, ale ją podtrzymać, swobodnie spoglądać w próżnię życiową, aby nie raziła, wypełnić ją należy właśnie nadziejami. To doda siły przy zmaganiu się z losem i zwalczaniu przeciwności.

A Wielkanoc tegoroczna, choć bardzo chuda, może tylko dlatego, aby się spełniły słowa Hoovera, że „rok 1920 będzie ciężki, ale i 1921 nie lepszy..."— przybywa do nas pod pomyślnemi auspicyami. Nasz Sejm uchwalił nareszcie Konstytucyę, pokój w Rydze podpisany, plebiscyt na Górnym Śląsku przeprowadzony z pomyślnym dla Polski wynikiem, wszystko to rokuje jak najlepsze nadzieje... Rok temu było daleko gorzej, a przecież jakoś „przetrzymaliśmy", zatem da Bóg, przetrzymamy i nadal, pozbędziemy się braków, które nam dokuczają, a pomoże nam do tego nadzieja, że wszystko to powetujemy sobie w przyszłości, gdy stosunki zupełnie się już poprawią i wrócą na normalne tory, opamiętają się kury i będą pilniej znosić jajka, znajdzie się do nich nawet pieprz, a w rezultacie i gorzka woda, skreślona tym razem z indeksu artykułów zbytku.

Nadzieja zatem, wraz z owemi dobremi wróżbami musi nam w r. 1921 zastąpić szynki, kiełbasy, baby, mazurki i t. p. O dawnych czasach wspominać nie warto, gdyż musielibyśmy czuć żal do naszych dziadów i pradziadów, że jedli i pili zbyt obficie, wobec czego dla nas mało zostało. Widzimy jednak, skoro już o tem mowa, że nie miał słuszności towarzysz Ignacy, rzucając takie gromy na Polskę szlachecką. Było, być może, źle wówczas, ale też nie jest lepiej i w Polsce chłopskiej, o czem wiedziałby dobrze, gdyby był zmuszony na kawałek chleba codziennego zarobić tylko głową. Polityka nie jest wprawdzie ręczną pracą, ale, umiejętnie zastosowana, może ją bardzo łatwo zastąpić i pozwolić chleb codzienny spożywać z masłem i to w dowolnej ilości.

Krótkie są życzenia świąteczne kronikarza, kto jednak do nich się zastosuje, ten wyjdzie na tem nie najgorzej. Na razie zbyt wesoło nie jest jeszcze usposobiony, ale to nie jego wina, lecz wielkopostnych rozmyślań, które go w ten poważny nastrój wprawiły. Przyczynia się do tego zresztą i wiadomość, nadeszła z Warszawy, że, dzięki staraniom nowego ministra aprowizacyi ma być post wielki rozszerzony na dalsze dni czterdzieści po Wielkanocy i że w tym kierunku toczą się rokowania między rządem polskim a Watykanem. Ma to ułatwić „przetrzymanie" przednówku, da bowiem sposobność panu ministrowi do ogłoszenia nowej seryi dni bezmięsnych i innych ograniczeń, przypominających bardzo ś. p. austryackie czasy, wskazujących nadto, że wracamy *in statum quo ante*, że zatem może powrócą i stosunki przedwojenne, choćby tylko pod względem aprowizacyi. Żołądek nasz zbyt sobie nie może zatem chwalić wojny światowej...

Jeżeli tak będzie w samej rzeczy, zbytnia wesołość byłaby nie na miejscu i trudno byłoby nawiązać seryę rozmyślań wielkopostnych przedwielkanocnych do powielkanocnych, tak zaś jak obecnie, gdy kronikarz jest „neutralnie" usposobiony, przyjdzie mu to z łatwością.

Zatem Święta nie zapowiadają się zbyt wesoło. To odbić się musi i na naszej kronice poświątecznej, mającej być dla historyka materyałem, jak przeciętny Krakowianin, który, nie opuszczając miasta, wyjechał do Zakopanego, spędził Święta i jaki one miały dlań duszny i cielesny pożytek. Zbytniej wesołości kronikarza nie mogą się też spodziewać P. T. Czytelnicy, ale też muszą sobie i powiedzieć, że bynajmniej nie dołożyli starań, aby mu Święta bodaj w części uweselić.

Nie jest przecież wykluczone, że jeszcze przed Świętami czeka go jakaś niespodzianka w tym kierunku, a nadzieja... nie opuszcza nawet i kronikarzy.

O przygotowaniach do Świąt *tabula rasa*. Nie było ich, trudno zatem o nich pisać. Nie było nawet prania firanek, gdyż mydło zbyt drogie. Miało miejsce jedynie trzepanie mebli, jako bardzo mało kosztujące, co przecież nie zasługuje na zbyt szczegółowe omawianie, zwłaszcza, że wspomniano o tem już w poprzedniej kronice.

Choć zatem na stole wielkanocnym został jedynie baranek (o ile był z gipsu!) i jakoś mu smutno bez zwykłego otoczenia, nie traci kronikarz nadziei i ogranicza się do życzeń „Wesołego Alleluja"!...

Na Wzgórzu Wawelskiem.

Wielostylowy monument Wawelu stając się z biegiem lat potężnym symbolem jedności, przez zgodne z sobą zrastanie się różnorodnej nadbudowy, otrzymuje dziś u swych podstaw kamienie dokumenty zasad, gruntujących moc i wytrwanie Narodu w ucisku niewoli, dokumenty swojej łączności, niezbędnej mu dla dalszego, szczęśliwego istnienia.

Na murach obramiających Wawel, tę wielką, najdroższą pamiątkę narodową, wypisują swe nazwiska ci, co swoją wspólnotę nierozerwalną z ukochanym, najserdeczniejszym obrazem ideałów historycznych chcą zaznaczyć.

Całe społeczeństwo dzisiejsze dąży wspólnie i zgodnie do odtworzenia co prędzej tego co i dlań w momencie odrodzenia się Polski, i dla dalszych pokoleń musi mieć w sobie przypomnienie potęgi Państwa, wielkiego kulturą, dobrobytem, szlachetnością uczuć, czynów i dążeń.

Każdy naród ma swoje błędy i odchylenia, są one i w naszej historyi, nie mamy jednak potrzeby ich tu rozpamiętywania, chcemy też co rychlej zatrzeć ślady cudzej w naszym kraju gospodarki.

Gdy więc kierownik odbudowy Wawelu prof. Szyszko Bohusz, przed dwoma miesiącami, zaapelował do Narodu w momencie gdy roboty stanęły na Wzgórzu, z powodu braku gotówki, Naród rozpoczął nową, dotąd w tej formie niebywałą wędrówkę pod mury Wawelskie, nie z pustą ręką, lecz by złożyć ofiarę, aby opłacać każdodniową przy odbudowie robotę.

Już 60 takich opłacone dni.

Więc ze spokojem o dalsze losy Wawelu rozwija się wzmożona praca na historycznem Wzgórzu, na pociechę Narodowi, na pożytek żyjącym i potomnym.

Opasujemy Wawel podawszy sobie dłonie, a jeśli w ten łańcuch: z rycerskich rąk wojska, z drobnych piąstek dzieci (z Morawskiej Ostrawy), z dłoni arystokracyi, finansistów, przemysłowców, obywateli-ziemian i mężów nauki a nawet życzliwych nam cudzoziemców, nie wplotły się jeszcze ręce mieszczan i włościan, to tylko dlatego, że wiadomość o wmurowywaniu cegieł-kamieni do nich nie doszła.

Ogłaszamy więc wiadomość jeszcze raz, aby cały Naród wiedział, że odbudowa wielkiej pamiątki narodowej ma być dokonana przy współudziale całego Narodu.

Składajmy zbiorowo lub osobiście po 20 tys. marek, a kierownictwo robót, za tę ofiarę wmuruje wszystkim cegły pamiątkowe, wiecznej trwałości.

Pozamiejscowi mogą składać pieniądze w dowolnym banku, za przekazem na Bank kupiectwa polskiego w Krakowie, zawiadamiając o tem jednocześnie kierownictwo odbudowy Zamku na Wawelu w Krakowie, z podaniem imienia, nazwiska i miejsca pobytu ofiarodawcy, lub nazwy instytucyi. *A. B.*


Do uczniów i uczennic polskiej szkoły ludowej i wydziałowej im. M. Konopnickiej w Morawskiej Ostrawie

Poświadczam niniejszem odbiór kwoty dwudziestu tysięcy marek pol. ofiarowanej na pokrycie kosztów jednego dnia restauracyi Zamku. Cegiełka w ten sposób ufundowana pod № 29/1921

Kierownictwo Odnowienia Zamku na Wawelu

10/II 1921

A. Szyszko-Bohusz

Na Wzgórzu Wawelskiem: Dokument wydawany przez Kierownictwo Odbudowy ofiarodawcom, składającym cegiełki na pokrycie jednodniowych robót restauracyjnych.

Pogrzeb króla Mikołaja czarnogórskiego.

W niniejszym numerze naszego pisma podajemy illustracyę przedstawiającą moment z pogrzebu ex-króla czarnogórskiego Mikołaja w San Remo, dokąd zwłoki zmarłego przewieziono z miejsca dotychczasowego przymusowego zamieszkania na Cap d' Antibes we Francyi.

W ceremonii żałobnej, którą odprawiono w tamtejszej cerkwi prawosławnej, wzięli udział przedstawiciele najbliższej, a bardzo licznej rodziny, między nimi zaś dwaj zięciowie, król włoski Wiktor Emanuel i rosyjski wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, oraz tłumy ciekawych, złożone z przedstawicieli naprawdę „całego świata“, będących w tych okolicach na kuracyi lub wypoczynku.

San Remo będzie nadto, na razie przynajmniej, wbrew najelementarniejszym zasadom geografii, stolicą Czarnogórza, tutaj bowiem ma zamiar osiąść królowa Milena wdowa po Mikołaju, która objęła regencyę.

Według praw następstwa, tron czarnogórski przypadał księciu Danile, który jednak zrezygnował na rzecz księcia Michała, syna zmarłego ks. Mirki. Królowa Milena objęła prowizorycznie regencyę, wydając proklamacyę do narodu, że bronić będzie interesów Czarnogóry i dodając, że za rezydencyę obrała St. Remo.

Rozważając losy króla wygnańca, który zmuszony był swe ostatnie dni spędzić na obczyźnie, zdala od swych kochanych gór i świnek, których racyonalna hodowla zasilała wcale pokaźnie królewski skarbiec, dochodzimy do przekonania, że dziś nawet i tak zwana realna polityka, mająca na celu jedynie swój własny interes, nie popłaca. A nią kierował się właśnie zmarły władca Czarnogórza.

Na kierunku polityki przezeń prowadzonej ze szczególnym uwzględnieniem własnych interesów, wyszła również bardzo dobrze i jego ojczyzna. To znaczenie, jakie maleńka Czarnogóra potrafiła sobie zdobyć w szerokim świecie, ma do zawdzięczenia zmysłowi politycznemu swego władcy. Na kartach dziejów Europy zajmuje ona wcale bardzo poważne miejsce, o przyjaźń króla Mikołaja starał się Wiedeń i Petersburg, przelicytowując się w jej zdobyciu.

Dobrobyt wewnątrz kraju, znaczenie jego i powaga na zewnątrz, oto następstwa mądrych rządów Mikołaja, który wprawdzie do tytułu „Wielkiego“ choćby tylko ze względu, że sama Czarnogóra, która jest mała... nie aspirował, przyznać mu też musi każdy bezstronny, iż wiele dla niej zrobił dobrego.

Cieszył się też w kraju ogólnem uznaniem i trudno zrozumieć, jaki podkład mógł mieć zamach dynamitowy na konak królewski w Cetynii i to w chwili odprawienia tamże ceremonii żałobnych.

Oto, jak donoszą telegramy z Wiednia, onegdaj o godz. 1 po południu rezerwowy oficer Pocek, rzucił dwie bomby do pałacu zmarłego niedawno króla Mikołaja.



Na Wzgórzu Wawelskiem: Wmurowywanie pamiątkowych cegieł z nazwiskami ofiarodawców w dawne mury obronne Wawelu.



Pogrzeb króla Mikołaja czarnogórskiego: Ostatnie zdjęcie czarnogórskiej pary król., podczas pobytu ich na wygnaniu.

W pałacu odbywały się właśnie ceremonie żałobne, przyczem była zgromadzona znaczna ilość wybitnych osobistości. Szczęśliwym przypadkiem ofiar w ludziach niema.

Przyczyna zamachu ma być politycznej natury.



Pogrzeb króla Mikołaja czarnogórskiego: Zięciowie zmarłego król włoski Wiktor Emanuel i w. ks. Mikołaj Mikołajewicz przed cerkwią w San Remo w dzień pogrzebu.

Z pomorskich kresów.

Aby sobie wyrobić dokładne wyobrażenie o duchu ludu pomorskiego, nastroju, jaki tutaj panuje, trzeba koniecznie być na miejscu i na życie tutejsze patrzeć własnemi oczyma. Dochodzi się wówczas do tego miłego przekonania, że jest on polskim do szpiku kości, że nie zdołała go znieprawić obca przemoc.

Mamy tu naturalnie na myśli ludność wiejską, po miastach zaś robotniczą, ku której też jako głównej podstawie każdego narodu, a jako niżej oświeconej i nieumiejącej rozróżnić prawdziwego ziarna od plewy, skierowane były ataki wojującego germanizmu. Ale te podstawy były widocznie zbyt silne i potrafiły się skutecznie oprzeć. Ciężka pruska szkoła nie wykorzeniła polskiego ducha, zaszczepionego pod rodzinną strzechą, przyczyniła się natomiast do wychowania pokolenia, pojmującego wartość pracy i obywatelskie obowiązki. Wróg nasz ani przypuszczał, że stosując wobec tego ludu ciężkie represye, działa na swą niekorzyść, hartując charaktery, o które kiedyś rozbiją się jego daremne wysiłki.

Tradycye narodowe przechowują też z pokolenia na pokolenie, krzepiąc się wspomnieniami świetnej przeszłości, a sił do pokonywania mnożącej się coraz bardziej trudności, dodawała nadzieja, że stosunki takie zbyt długo nie potrwają. A najlepszym dowodem jak je troskliwie pielęgnowano, jest fakt, że w rodzinach, w których schodził do grobu ostatni ze starego pokolenia, który modlił się z polskiej książki do nabożeństwa, rozporządzeniem ostatniej woli polecił ją włożyć tak że do trumny, aby przypadkiem ta rodzinna świętość nie uległa profanacyi wśród młodszego pokolenia, wychowanego w niemieckiej szkole.

W tej ciężkiej walce, jaką mieszkańcy kresów pomorskich przejść musieli wyrobili się też na dzielnych obywateli znających i myślących szczerze po polsku, choć przychodzi im z trudnością, dzięki właśnie pruskiej szkole, w własnej mowie to wypowiedzieć. Ich marzeniem było połączenie z krajem rodzinnym, tego dowody składają obecnie, do czekawszy się zjednoczenia. Ich udział w życiu narodowem jest tak wybitny, że może służyć za wzór mieszkańcom innych dzielnic, cieszących się przedtem większemi niż zabór pruski swobodami.

Wystarczy bacznie przypatrzeć się pierwszemu lepszemu obchodowi urządzonemu na Pomorzu, a przekonamy się, że te tysięczne rzesze, które się zebrały zdaleka i zblizka, to nie gromada głupich u nas gapiów, lecz uczestnicy, biorący w uroczystości udział ciałem, sercem i duszą. Z oczu ich bije radość, że doczekali się tej chwili, w której im wolno zamanifestować jawnie, że są Polakami. Niemych widzów tworzy szczupła garstka Niemców, bladsiących nad tem, że ich robota poszła na marne.

W numerze niniejszym zamieszczamy motyw z obchodu w rocznicę wkroczenia wojsk polskich, w Wejherowie, w dniu 10 lutego b. r. Mówi on sam za siebie.



Z pomorskich kresów Obchód rocznicy wkroczenia wojsk polskich do Wejherowa w dniu 10 lutego b. r.

II. Zjazd delegatów mierniczych polskich w Warszawie.

II Zjazd delegatów mierniczych polskich, odbył się dnia 6, 7 i 8 marca b. r. w Warszawie, przy licznym udziale uczestników z Małopolski, Wielkopolski i Kongresówki.

Jest to drugi Zjazd z rzędu w Rzeczypospolitej, który pracował bardzo pilnie przez trzy dni. Uchwalono postulaty do rządu, w sprawie etatyzmu miernictwa, w sprawie organizacyi miernictwa wolnozawodowego, w sprawie instytucyi geometrów przez Państwo upoważnionych, stosunek do reformy rolnej, organizacya szkolnictwa mierniczego, kompetencye i zakres działalności przyszłego Instytutu mierniczego, ochrona zawodu i sposób zwalczania osób do wykonania zawodu mierniczego nie upoważnionych. Uchwały wszystkie zapadły w kierunku potrzeb Państwa i społeczeństwa. Obowiązują one wszystkie Stowarzyszenia i Zrzeszenia mierniczych Rzeczypospolitej.

Delegaci rządowo upoważnionych i przysięgłych geometrów określili wyraźnie swój stosunek do G. U. Z. przyczem jednomyślną uchwałą zażądali bezwłocznie cofnięcia ograniczenia co do ich działalności przy technicznem wykonaniu reformy rolnej.

Nastrój podczas Zjazdu był poważny i różnice zapatrywań wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej zostały prawie wyrównane, zaś uchwały jednomyślne powyższego Zjazdu umożliwią pracę wszystkich mierniczych Rzeczypospolitej w zwartym szeregu dla dobra Ojczyzny.

Następny Zjazd odbędzie się w Poznaniu



II. Zjazd delegatów mierniczych polskich w Warszawie: Grupa uczestników Zjazdu. Od lewej ku prawej stoją też: Kinżulak (Warszawa), Nowak (Warszawa), Skracha Kraków), Nabajski Kraków), Bromowicz (Kraków), Majewski (Warszawa), Maciejowski (Warszawa), Tomorowicz (Lublin), Bobrowski (Lwów), Podracki (twórca kolejki podziemnej w Nowym Jorku), Jankowski (Warszawa), Pienkiewicz (Lwów).

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Nadesłane.

Z TEATRU.

Nowa operetka polska.



Nowa operetka polska: Stefan Turski, autor libretta „Gwiazda Kaukazu".

W małym i dość nikłym zresztą dorobku polskiej operetki zaznaczyła się wybitnie ostatnia premiera Teatru „Nowości". Autora libretta zna już Kraków dobrze. Jest to popularny i lubiany twórca „Zuchów krowoderskich", „Loli z Ludwinowa" i całego szeregu ludowych wodewilów — Stefan Turski, który tym razem sięgnął po laury operetkowe i zdobył je wśród oklasków, kwiatów i wywoływań. Jest to „Gwiazda Kaukazu".

Współautor „Gwiazdy" młody b. zdolny kompozytor p. Zygmunt Wiehler, który już od dawnego czasu zasilał warszawskie kabarety swemi kompozycyami. „Gwiazda Kaukazu" poważniejsze już dzieło muzyczne zaleca się wielką melodyjnością i znajomością techniki kompozytorskiej i świadczy pomyślnie o przyszłej karyerze p. Wiehlera.

„Gwiazda" wykonana była b. poprawnie, a za wystawienie jej należy się uznanie i wdzięczność dyrektorom pp. Pilarskiemu i Gawlikowskiemu, którzy przy złotodajnej Muzie zagranicznej nie zapomnieli i o polskim kopciuszku, jakim dotychczas była niestety nowa operetka!... *K. Kr.*



Nowa operetka polska: Zygmunt Wiehler, kompozytor operetki „Gwiazda Kaukazu".

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył S. S., Zamość.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda nazwę jednej z uroczystości kościelnych:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Polsce, 2. Imię męskie, 3. Półwysep w Europie, 4. Miasto w Galicyi środkowej, 5. Postać z dziejów rzymskich.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Świerk, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda jeden ze zwyczajów wielkanocnych:

■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Znany pieniądz, 3. Duchowny muzułmański, 4. Ptak, 5. Kraj znany z Biblii, 6. Spółgłoska.

Kryształówka.

Ułożył S. S., Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z gory na dół, podadzą nam nazwę rośliny, z którą w tym czasie spotykamy się bardzo często:

■ — — — —
— ■ — — —
— — ■ — —
— — — ■ —
— — — — ■
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Polski pamiętnikarz, 2. Bardzo popularna słabość, 3. Prawodawca ateński, 4. Inaczej cieplice, 5. Imię żeńskie.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył X. Y., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie:

— oła
— ora
— rab
— yba
— oga
— oda
— ork
— yna
— ora
— ali
— oła
— ora
— pis
— oga
— mam
— zop

Szarada.

Ułożył J. W., Zakopane.

Pierwsza z trzecią, to część ciała,
Których człowiek ma po parze,
Bywa wielka, bywa mała,
Gdzie jej szukać, rozum wskaże.
Pierwsza druga onę chowa,
Z sukna, płótna, albo w skórze..
Na *całość* wnet wpadnie głowa,
Kiedy wspomnisz na Podgórze!...

Łamigłówka.

Ułożył M. Wilk, Sanok.

Z każdego wyrazu wyjąć dwie obok siebie stojące litery a otrzymamy słowa, często w tym czasie powtarzane:

Wawel, Soła, Podmokle, Kongo, Transwal, Skole, Foluszki, Janów.

Zagadka literacka.

Ułożył H. D., Kalisz.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą nazwę ludowego obchodu w Krakowie:

Prus ?
Pol ?
Słowacki ?
Jeż ?
Mickiewicz ?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania trzy nagrody: 1) W. Przybyszewskiego „Czerwona mara" (Powieść); 2) Kalendarz familijny na r. 1921; 3) „Wnętrze katedry wawelskiej". Druk trójbarwny według obrazu prof. Wodzinowskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 11.

Logogryf: B, rum, oko, San, ara, sen, osa, Iza, t.

Kwadrat magiczny: Ryga, Ezaw, wiąz, trąd.

Grzebieniówka: Adam, p, rota, e, woda, l, nota, a, cynk y, Azya.

Rebus: Kotary nad łóżkami, bardzo to zgadzająca się z estetyką ozdoba, ale nie zdrowa.

Zadanie do uzupełnienia: Iza, San, aga, rów, ara, osa, oko, Nil

Trójkąt magiczny: Briand, Roman, Iran, Abo, ni, d.

Okienko: Senat, Nobel, Tales.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: H. Woźniakowska Rzeczyca, J Opolski Łódź, S. Piekarski Poznań, M. Wysocka Jasło, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M Michalczyk Poznań, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, K. Zborowski Lwów, S. Balicki Radom, W. Raczyński Kraków, K. Borkowski Kraków, W. Śmieszek Lublin, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Samocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Bielawski Rzeszów, J. Jabłoński Lublin, Z. Zawadzki Wadowice, S. Zajączkowski Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice. H. Walewska Kraków, J. Martynowicz Kraków, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, W. Zubicka Warszawa. M. Jasińska Lwów, S. Kowal Warszawa, S. Rachwał Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: H. Woźniakowska, Rzeczyca (książka), 2) S. Kowal, Warszawa (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Wydawcy i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.